



**Borislav Radović** (ur. w 1935 r.) – serbski poeta, eseista i tłumacz. Autor książek poetyckich: „Poetičnosti” (1956), „Ostale poetičnosti” (1959), „Maina” (1964), „Bratstvo po nesanicı” (1967), „Opisi, gesla” (1970), „Izabrane pesme” (1979), „Pesme 1971–1982” (1983), „Izabrane pesme”1954–1984” (1985), „Trideset izabranih pesama” (1985), „Pesme 1971–1991” (1991), „Pesme” (1994), „Pesme” (2002), „Izabrane pesme” (2005). Opublikował również tomy esejów: „Rvanje s anđelom i drugi zapisi” (1996), „O pesnicima i o poeziji” (2001), „Neke stvari” (2001) oraz „Čitajući Vergilija” (2004). Tłumacz literatury francuskiej, autor przekładów dzieł Saint-John Perse’a („Éloges”, „Amers”), Paula Éluarda, Charlesa Baudelaire’a („Paryski spleen”) i Honoriusza Balzaka („Ludwik Lambert”). Uonorowany wieloma nagrodami za działalność literacką i przekładową, członek Serbskiego Towarzystwa Literackiego. Mieszka w Belgradzie.

# Borislav Radović Między szypułką a pędem



**Wyjście**

Sobotni człowiek wyrusza jak lud – dwa białe rękawy, przed nim dwa gołębie – przycinać pradawne drzewo. Na czterech kółkach, z czerwonego na zielone nosi go wyparta zaduma, ze wszystkich sił do prajedności, przewleka go przez ucho igielne obok cukrowni i papierni, dokądkolwiek, do tego kraju, gdzie kwitną cytrynowe drzewka. I jeszcze za zakręt, gdzie jego winnica łagodnym stokiem opada w wieczór z gwiazdą czy dwiema, gdy przewodnikami zostają księżycowa krowa z niebiańskim bykiem; i gdzie wydaje mu się wprost nieprawdopodobne umknąć uwadze astronomów pod wspólną czapkę z tym wszystkim, co kiedykolwiek tętniło z ciemności.

**Śpiew z Kalevali**

Dawno temu, budując łódź, czarownik po kość ciężł toporem, i wrzasnął: zaśpiewał o ranie śmiejącej się na czerwono, o błękitnej stali, że ją do śmiechu zmusiła, ale nie mógł sobie przypomnieć najważniejszych słów pieśni: jak przyszło na świat to zjadliwe żelazo. Rana nie chciała się zrosnąć, a krwawienie ustać, więc zaczął od samego początku; najpierw opiewał powietrze i kolejno potomków, wodę, ogień i ich najmłodszego brata, żelazo, za którym tęskniła ziemia, wyłoniwszy się z morza. Szczęrzyła się rana, a krew broczyła dalej. By pieśń mogła zasklepić skaleczenie i tak udzielić pierwszej pomocy, należało przejść od rudy do ostrza; grunt palił mu się pod nogami, uderzył więc w końcu w istotę wszechrzeczy językiem hutników i kowali. A balsam przykładał później.

<b><i>Ernestine Hoff</i></b>
<span></span>
Dla pewnego imienia przeczytanego w niemieckiej części Nowego Cmentarza podczas ucieczki przed bombardowaniem Belgradu 6 kwietnia 1941 roku.

Sucho trzeszczy pusta muszla pod paznokciami zielono od mchu, od ślimaka uczyć się twej gry w chowanego. Leżałem przy twoim pomniku, a on na mojej kwietniowej ziemi. Długo trwało, zanim dym zmienił się w wieczór.

Nie widziałem cię ani nie zapomniałem. Ty nie zwałaś na żelazne orły, zapadające się z gwizdem pod ziemię ani na włosowaty korzonek, który, lunatyk, wypuszczał się w twoją stronę. Ale oto zawsze, gdy się zazieleni, wstrząsa mną kielkujące źdźbło, przypomina mi siłę, która trzymała od dołu wszystkie nici i przyniotła mój oddech do ziemi.

Nie widziałem cię ani nie zapomniałem. A cały czas karmimy się tymi samymi ustami i opowiada nas ten sam język.

**Presokratejski pejzaż nad jeziorem Crna Bara**

Niesione jak pierze z poduszki z prądem powietrza po wrażliwym świecie, pyłki topoli wywołują kichanie; podrażnione powieki w czerwonawym mgnieniu zamykają samotnego wędkarza i rower przed domkiem na brzegu kanału. Wzbiwszy się groblą na granicę czasów wędrowcy tracą z oczu piędź podróży i dzień, i chwilę na zanotowanie. Tylko jeden, który jeszcze pozostał w środku, zauważa, że źrenica w głębi oka jest czerwonym kręgiem, niczym małe palenisko pod powieką, z niej wciąż bryzga płomień, który ogarnia wierzby i sitowie, roznieca się w stojącej wodzie, ale uczciwie nie osmala ani jego, ani żadnego z tych, którzy się przypatrują, oni także już dawno odeszli we wspomnienie.

<b><i>Szakala jutrznia</i></b>
<span></span>

Nad wsią i morzem o świcie podczas ciszy, gdzieś spomiędzy wzgórz, z gąszczu poziomkowców, dwukrotnie odezwął się szakal. Tęsknie, z westchnieniem, ten płacz jak gdyby szukał piersi w kolebce spoza snu. A jednak jest to kosmaty zew, wyjący jak z jaskiniowych ust, mowa zębatego cienia, która podkrađa się do uszu rybaków, kobiet w ciąży, psów i piszącego ten wiersz. Czemu nie miałyby to być głos zwykłego demona, pozeracza gwiazd ze sterzącymi zębami, dość przenikliwy, by wyrazić triumf pierwotnej materii, z pyskiem w górze, w najczarniejszym szlochu, przed wszelkim rozróżnieniem na ziemię, niebo i wodę? I czemu nie, póki słońce z czerwonej gumy odskakuje od urwiska, z gardzieli skały, on wyje jeszcze chwilę w okolicy hymn, który rozświetla zylasty stary świat; lecz tu zgryźliwie rozlega się szczekanie i swoją logiką przekreśla wszystko.

<b><i>Owoce czuwania</i></b>
<span></span>

Noc, na holenderski parkiet wycieka pochód karaluchów spod zlewu, czarne roje gwiazd rozsypanych po bladym nieboskłonie, i nie mogą zasnąć piekarz i poeta.

To pląga obrazów, nadchodząca chwila, w której nasza pneuma na jawę się wymyka, powiedziałby wówczas filozof języka, że język o samym sobie zapomina.

Język wtedy znika w przedstawieniu rzeczy, które zazwyczaj doprecyzowuje sam, do czego lepiej swój dar wykorzystuje, niż kiedykolwiek zdolałiby poeci,

bo nawet puryście wymyka się w końcu, gdy skupi się na tym, co ma do powiedzenia, i ciasto drożdżowe szykując do pieczenia, „zostawia je do wyrośnięcia na słońcu”.

A co miałyby zrobić poeta, opisując jakieś przyszele chleby, rogałe i bułki, jeśli karaluchy wystawiają czułki z tego czy tamtego wersu, nasłuchując,

czy między grudkami ciasta znajdą drogę, na której język w przedstawieniu znika, podczas gdy stara ich pani, dydaktyka, nie daje się zagłębić we frazeologię?

Po co do tego wtrąca się poeta, i splata w języku znaczenia jak precle, jeśli wodę z mąką wymiesza i piecze, a soli i drożdży dodać nie pamięta!

Gdy pląga obrazów na jawę się przebija, nie jest ważne, co piekarz na to powie, bo język z natury rzeczy o sobie samym, jak mówi filozof, zapomina;

i tu, dokończony, w przedstawieniu znika jakichś karaluchów na blacie z kamienia, a człowieka oczy pieką ze zmęczenia i stado metafor po karcie mu umyka.

<b><i>Trzy róże</i></b>
<span></span>
I <p>Jak cokolwiek mogło tam wykiełkować, jak utrzymało się w pustym zbiorniku, myślę, układając drewno na zimę. Kiedy z ciemnej wyrwy wyłonił się cieniutki kielek z drobnymi kolcami, wyrósł na dwie piędzi i tak został. Tego pierwszego roku nieco się chwiał. Później rozpychał się z mrozami, nagle; rozrastał się, czepiał powietrza, obsypywał gęstym, żółtawo-białym kwieciem; a u podnóża zielonych pędów kruszał kamień, odchodziły płytki... W końcu wycięliśmy tę różę, zanim zdążyła zburzyć cysternę. Kiedy odsunęliśmy kamień, zobaczyliśmy, że to były dwa krzewy, które spłotył się w węzeł tuż pod płytkami, dwie nogi wrosnięte w bezgłowe ramiona: znaleźliśmy dzikie zwierzę, nie różę, która by w naroślach z wilgoci przemyciała zwitki papieru z wiadomością o męce i tęsknocie, tylko splot mięśni, napiętych ślepą siłą. Wyjęliśmy ją z ziemi i nieco ociosali. (Nawet nie pomyślałem, żeby ją spalić). Teraz ta róża podnośnik, od dawna już sucha, stoi na drewnie pod okapem, nie podpierając się, jej obie nogi wynoszą barki w pustkę.</p>
II <p>Pamiętam, że raz zebraliśmy się u sąsiada, pod krzewem drugiej róży; tego ranka, gdy, jak mówią, dwie Marie zastały ubranego na biało nieznajomego</p>

o ognistych oczach, który siedział i czekał na odsuniętym kamieniu z pytaniem, czemu szukają tu żywego.
Na stole wszystko było czerwone: jajka barwy wiśni na wiklinowej tacy, dalej pstrąg, jeszcze gorący, rzodkiewki...
Plamy z młodego wina na obrusie w plątki tej samej winnej róży...
I my wszyscy w różnym cieniu, zarumienieni, w kroplach słońca...
A ci, których już z nami nie ma, odnaleźli się w naszej rozmowie: tłoczyli się wokół gwarnego stołu i pozwalali, bśmy przez nich przechodzili z pustymi i pełnymi butelkami, z opowieściami; a gdy na moment milkliśmy, nad nami, z gałęzi, cały w zachwycie, skrzeczał niewidoczny kumak.

III

Trzecia róża kwitnie na samotnej lodydze, na rabatce, gdzieś na wysokości oczu.
Jej ciernie przypominają chwytny dzióbki.
Matka niekiedy podspjuje jej popiół, podlewa ją wodą, w której gotowała mięso.
Wypuszcza tylko pączek na czubku, który długo się żarzy, zanim zajmie się i zaplonie.
Wtedy matka ostrożnie wycina kwiat, zawsze robi to sama, choć ledwie może dosięgnąć go chorą ręką.
Zdrową przytrzymuje i tnie nożycami tuż przy końcu, ściskając je kurczowo; i powoli odnosi płomień w dłoń.
W szklance wody ta róża będzie się palić na pomniku u ojca, jeszcze ze trzy- cztery dni na pewno, myślę, ale jej nie mówię.

<b><i>Życie wina</i></b>
<span></span>
Po niedzielnym obiedzie, gdy zapadaliśmy w sen, z włosami wilgotnymi od trawienia i skwaru, ojciec szedł do winnicy i tam pracował do zmroku, otoczony krzewami; porządkował liście, przeglądał grona o pestkach większych niż ziarna pieprzu i myślał o nowym winie.

Dziś przelewam wino z jego myśli; podnoszę je, złóte, połyskliwe, do okna: by przeniknęło przez nie zakurzone słońce.
I wiem, gdy tylko zasną zimowe pąki i wytrysną latorośle, ono, żywe, zmętnieje.
Jak gdyby wcale nie przerwała się więź między szypułką a pędem, znów będzie zażyłość tego lata z winem w piwnicy, w butelkach pokrytych pleśnią i kroki Słońca w głuszy niebiańskich domów.

Wino jak gwiazda wyznacza trajektorię, w której być może i ojciec odcisnąłby ślad, stojąc bez tchu i kaszlu, z pustką w oku, chudy, jak gdyby nosił cudzą koszulę; odległy, obcy nawet własnej myśli.

<b><i>Przełożyła Magdalena Maszkiewicz</i></b>
<span></span>